

## Anioł z Augustowa



czasach kiedy na ziemi krajeńskiej żyli w zgodzie ze sobą Polacy i Niemcy, dziedzicem folwarku między Krajenką a Głubczynem był Andrzej Goetzendorf-Grabowski ze starej, szlacheckiej, polskiej rodziny o pomorskim rodowodzie, posiadającej na własność szereg majątków także na Złotowszczyźnie. Miał on syna Jana Teodora, z którego był dumny, i jemu właśnie postanowił przekazać w przyszłości swoje dobra.

Był to młodzieniec zdolny, przedsiębiorczy, a do tego dobrze wykształcony i przysposobiony do przyszłych obowiązków. Wysłał go bowiem ojciec na studia agrotechniczne do Hamburga, skąd oprócz wiedzy o nowoczesnym gospodarowaniu przywiózł sobie żonę, pannę niezwyklej urody, choć Niemkę. Nazywała się Augustyna Brandenstein i była córką zamożnego kupca.

Na pochodzenie panny stary Grabowski początkowo kręcił nosem, bo mu cały ten związek syna pachniał brzydko mezaliansem, ale szybko zmienił zdanie. Wdzięk, uroda i mądrość, lecz przede wszystkim postępowanie Augustyny rozwiały wątpliwości starego szlachcica. A ponieważ los nie dał mu córki, wnet piękna synowa opanowała bez reszty jego serce, tak że traktował ją jak jakąś księżniczkę. Po naradzie z synem folwark koło Krajenki, będący częścią jego fortuny, który swej nazwy jeszcze nie miał, nazwał Augustowem i pieczęć nad nim powierzył Niemce.

Młoda dziedziczka, niewiasta jak na owe czasy dobrze wykształcona w zakonnym instytucie świeckich samarytanek, z powodzeniem wywiązywała się z powierzonych jej obowiązków. Gospodarcze sprawy folwarku przekazała zaufanemu ekonomowi, a sama wpadła w wir dobroczynnych działań. Choć Niemka i protestantka, wybudowała szkołę elementarną dla dzieci z rodzin katolickich i ewangelickich. Od czasu do czasu sama w niej nauczwała, ale ponadto dbała o zdrowie uczniów i troszczyła się o to, aby żadnen z nich nie był w szkole głodny.



Opiekowała się również starymi i chorymi mieszkańcami folwarku, pomagała biednym, czym zyskała sobie powszechny szacunek i uznanie całej okolicznej społeczności. Miejscowi otaczali ją uwielbieniem, widząc w niej anioła, który zstąpił na ziemię, by czynić powszechne dobro. Tak ją też nazywali – aniołem z Augustowa.

W chwilach wolnych od licznych obowiązków lubiła pani Augustyna przejażdżki konne i polowanie na drobną zwierzynę. Towarzyszył jej w tym wierny i rosły wyżeł, nazywany nie wiedzieć dlaczego Lordem. Zauroczony swoją synową, stary Andrzej drogę prowadzącą z folwarku do lasu, którą pani Augustyna jeździła na polowanie, kazał obsadzić lipami. Po latach powstała tam piękna aleja.

I tak mijał rok za rokiem, a każdy szczęśliwy dla Jana i Augustyny oraz starego Goetzendorf-Grabowskiego, gdyż doczekał się stadka wnucząt.

Pewnego letniego popołudnia roku Pańskiego, którego niestety kroniki nie zanotowały, doszło do nieszczęścia. Pani Augustyna powracała właśnie z polowania ową aleją lipową, przez teścia na jej cześć obsadzoną, gdy nagle spod końskich kopyt zerwał się zając, co na drodze przykucnął. Koń, spłoszony tym nagłym ruchem, uskoczył w bok i zrzucił z siebie niewiastę, która spadła tak nieszczęśliwie, że uderzyła głową o kamień, złamała sobie kark i na miejscu wyzionęła ducha.

W całej okolicy zapanowała powszechna żałoba. Na pogrzeb Augustyny zjechali przedstawiciele najzacieńszych rodów z całego Pomorza i Krajny, pragnąc w ten sposób oddać cześć niewieście za jej dobroć i szlachetność. Najbardziej rozpacział stary Andrzej. W trakcie składania trumny do rodzinnego grobowca zasłabł, a w parę dni potem poszedł w ślady synowej i opuścił ziemski padół.

Ponieważ mieszkańcy Augustowa i okolicznych wiosek piękną Niemkę mieli niemal za świętą, choć była ewangeliczką, w miejscu jej śmierci postawili krzyż, który do dziś tam stoi.

*Źródło: Henryk M. Brodziak „Dawno, bardzo dawno temu” 2006*

## Bezbożny myśliwy ze Sławianowa



rzy trakcie z Łobżenicy do Złotowa leży nad jeziorem wieś Sławianowo. Tędy przez wieki jeździli pątnicy do Górki Klasztornej na odpusty, by pomodlić się przed obrazem Najświętszej Paniienki Góreckiej i wody zaczerpnąć z cudownego źródła. Niedaleko owego traktu leżał jeszcze sto lat temu głąz o niespotykanych rozmiarach. Krążyły o nim różne wieści między mieszkańcami pobliskich wiosek.

Jedna z nich opowiadała o bogatym dziedzicu, który żył tu przed laty. Wokół okazałego dworu owego szlachcica znajdowały się pola i lasy pełne zwierzyny i ptactwa. Pan ów był namiętnym myśliwym i stale polował. Mało troszczył się o swój majątek. Jak tylko świtać zaczęło nad lasem, z psami wyruszał z podwórza i konia naglił do biegu, aby jak najprędzej pohulać wśród poszumu starych drzew. Przed nim pędziły ogary i tropiły zwierzynę. Wpadały do lasu i głośnym warczeniem zganiały spłoszone zwierzątka na polany, prosto pod strzał swemu panu. Wtenczas puszcza odżywała, słycać było huk strzałów i ujadanie psów. Ludzie pracujący w polu słyszeli ten hałas i mawiali do siebie:

- Niedobrze skończy kiedyś nasz dziedzic, bo wiecznie on w kniejach ugania się za zwierzyną i w domu usiedzieć nie może. A nawet w święta, gdy ludzie rankiem do kościoła idą, on z psami wyrusza na łowy i zamiast się modlić do Boga, pędzi jak wichur przez leśne ostępy. Niebu na przekór nie uczi dnia świętego.

Pewnego roku, w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, już od rana krzątali się ludzie, by w chatach i obejściach czyściutko było, po czym ubrali się w szaty świąteczne i ruszyli do kościoła.

Nagle od strony dworu rozległo się szczekanie psów. To dziedzic na polowanie wyruszył. Koło gromady najbliższej przejeżdżając, szydził z pobożności ludzi, którzy szli drogą i miedzami ku wiosce na mszę świętą. Przesadził na koniu już prawie wszystkie przeszkody i niebawem miał wpaść do lasu, by znowu polować po kniejach. Już tylko jeden rów miał przed sobą, dosyć głęboki tuż przy drzewach. Rozpuścił konia, by przeskoczyć ostatnią przeszkodę; uniósł się rumak, porwał z kopyta, a razem z nim dziedzic w kulbace, sunęły charty zręcznie



przez groble i wnet przepadły w leśnej gęstwinie. Ale koń z jeźdźcem wpadli do rowu i martwi legli na jego dnie.

Strasznie ukarał Pan Bóg grzesznika, bo zamienił go z koniem w twardą skalę, aby już nigdy nie ruszył na łowy, gdy kapłan w kościele mszę świętą odprawia i razem z pobożnym ludem obchodzi uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego. A psy, które powróciły w poszukiwaniu swego pana, zamienił w mniejsze kamienie, które zaległy wokół głazu.

Msza święta się skończyła, wychodzili ludzie z kościoła i rozmawiając z sobą, wolno do domów wracali. Wtedy ujrzeli niedaleko traktu ogromny kamień, którego przedtem tu nie było. Przystąpili bliżej, by poznać przyczynę jego pojawienia się, ale nikt odgadnąć nie mógł. Dopiero w kilka dni potem, gdy rozeszła się wieść o zniknięciu dziedzica, którego znaleźć nie było można ani po siołach i wsiach okolicznych, ani nawet w puszczy, ludzie zrozumieli, że palec boży dotknął grzesznika i za jego bezbożny żywot ciężko ukarał. Gdy potem stanęli przy głazie, poznali z jego kształtu człowieka na koniu.

Od tego czasu unikali tego miejsca. We dnie nie obawiano się głazu, lecz ledwie mrok zapadał na ziemię, nikt tamtędy nie przechodził, by nie przeszkadzać przeklętej duszyczce w pokucie za ciężkie grzechy, tym bardziej że często o północy budził się kamień przy drodze i przybierał ludzką postać dziedzica; odżywał i koń, i psy zakłete w kamieniach i razem z jeźdźcem ruszały na łowy. Czasem widmo to widzieli ludzie z daleka, bo aż nawet w Krajence pod borem.

Różnie bajali ludziska we wiosce, a młodzi nawet szydzili z wdziała i wierzyć nie chcieli, by nocą duchy kusiły po drodze. Pewien młodzieniec też nigdy nie wierzył w te opowieści i późno po nocach się wałęsał, bo pragnął ducha zobaczyć, aby mu kijem porządnie nagrzmocić, jak zwykł przed innymi się wychwalać. Zdarzyło się jednak, że razu pewnego wracał o północy do domu, gdy nagle ujrzął straszny przed sobą. Poznał dziedzica, o którym starzy bajali i z którego on często się wyśmiewał.

- Stój! - krzyknął jeździec. - Już dawno czekałem na ciebie w tym miejscu. Teraz wpadłeś w moje sidła i nie odejdziesz stąd bezkarnie. Za twe złośliwe obelgi rzucane na mnie w chałupach...

Tu przerwał nagle rozmowę, bo młodzian przeżegnał się i Boga zawezwał na pomoc. Nie mógł go dziedzic ukarać, bo moc swoją stracił od razu, gdy zobaczył przed sobą krzyż święty. Zaryczał wściekle i pomknął prędko przez pola do lasu. Tymczasem młodzieniec uciekał, jak mógł najszybciej, prosto do wsi, aż doleciał wreszcie do domu i ledwie dysząc, upadł prawie że bez życia na łożo.

Odtąd ów młodzian nie włóczył się w nocy po drogach. A gdy przypadkiem inni o duchach wspomnieli, on także opowiadał swoją przygodę, którą zwykle kończył słowami:

- Już nigdy nie pójdę późno wieczorem w to miejsce i nie będę przeszkadzał duszom pokutującym za grzechy.

Duch dziedzica jeszcze wiele lat straszyl mieszkańców pobliskich osiedli. Dopiero któryś z pielgrzymów wracających z Górki pokropił raz kamień wodą wziętą z cudownego źródła. Odtąd nie spotkano więcej zjawy, choć kamień długie lata jeszcze leżał na swym miejscu. Dopiero w 1920 roku użyto go do budowy drogi. Rozwalono na mnóstwo drobnych części, a było ich tak wiele, że jednaście wozów dwukonnych zajechało na pole, by wszystko wyzbierać i wywieźć.

Dziś nikt z ludzi nie wspomina już o owym kamieniu przy drodze. Tylko nieraz, gdy jesienią wichur zawyje i w drzewach przy drodze zapłacze, słychać na szosie przytłumione jęki dochodzące spod ziemi, lecz słyszy je tylko człowiek, który nocą powraca samotnie do domu.

*Źródło: Piotr Jasiek „Przy kominku” 1936*